

20  
BIBLIOTECZKA POWIEŚCI SENSACYJNYCH

---

1.

*Wa*

**PRZYGODY  
INSPEKTORA WILLIAMSA**

**(ZE WSPOMNIENIEM AGENTA WYWIADU)**

**OPRAC. IGL.**

---

R Z Y M

1 9 4 5

BIBLIOTECZKA POWIEŚCI SENSACYJNYCH

---

1.

**PRZYGODY  
INSPEKTORA WILLIAMSA**

(ZE WSPOMNIENIŃ AGENTA WYWIADU)

OPRAC. IGL.

Biblioteka Polska POSK  
w Londynie  
WYMIANA

---

R Z Y M

1945



BIBLIOTECZKA POWIĘSICI SENSACYJNYCH  
ARTI GRAFICHE ONORATI - Roma - Via Sforza Pallavicini, 12 - Tel. 51-024

BIBLIOTEKA  
UNIWERSYTECKA  
w Torynie

1385190

Gdy inspektor Nick Williams otrzymał wezwanie do gabinetu szefa Browlinga, domyślił się odrazu, że władza wyśle go na jakąś poważniejszą robotę. Williams był kierownikiem sekcji specjalnej wywiadu wojskowego i przydzielano mu zazwyczaj delikatne i odpowiedzialne prace.

W gabinecie Browlinga zastał starszego, szpakowatego oficera, w randze pułkownika.

"Pan Pułkownik-przedstawił Browling inspektorowi, niewyraźnie wymawiając nazwisko oficera-jest delegowanym Ministerstwa wojny w sprawie nader ważnej, z którą osobiście pana zapozna".

Williams uklonił się oczekując dalszych wyjaśnień.

Pułkownik chwilę milczał, jakby zastanawiając się, co powiedzieć, w końcu, pilnie patrząc Williamsowi w oczy, rozpoczął: "Otrzymaliśmy wiadomość, że Niemcy rozpoczęli produkcję dział dalekosiężnych, z których będą mogli ostrzeliwać nie tylko Londyn, ale i bardziej na północ położone miasta naszego okręgu fabrycznego. Musimy zdobyć szczegóły produkcji tych dział. Potrzebne nam są następujące elementy: jakiego typu pocisków używają Niemcy przy nowej broni, jakie nowe stopy metalowe stosują... Williams patrzył wyczekująco, notując sobie w pamięci słowa pułkownika — Poza tym ważny jest materiał wybuchowy, nośność, no i gdzie znajdują się fabryki nowych dział. Sam pan ro-



zumie, że chcemy znać wszystkie możliwe szczegóły. Dotychczasowe informacje donoszą tylko, że produkcja odbywa się gdzieś na Śląsku. Jednakże ani nasi agenci, ani wywiadowcy państw sprzymierzonych, nie zdołali wykryć w jakich miastach znajdują się owe fabryki. Niemcy otaczają całą produkcję wielką tajemnicą, a wydarcie jej jest rzeczą niełatwą... — Williams chciał zaznaczyć swoją gotowość do rozwiązywania wszelkich trudnych rzeczy, pułkownik powstrzymał go ruchem ręki, ciągnąc dalej — kierownikiem całej produkcji jest pułkownik SS, specjalnie wydelegowany ze sztabu do tej funkcji. To jest wszystko co mogę panu na ten temat powiedzieć. Dodam tylko, że Minister Wojny, znając wyniki pana pracy, specjalnie polecił mi, inspektorze, aby właśnie panu przekazać tę trudną robotę”.

” Tak jest, panie pułkowniku — uśmiechnął się Williams — zadanie istotnie jest trudne. Chętnie jednak podejmuję się zrobić wszystko możliwe, by praca moja dała dobre rezultaty. Do zadania przystąpię natychmiast”.

” All right — mina pułkownika wyrażała zadowolenie — technikę wykonania omówi pan z majorem Browlingiem — ukłonił się nieznacznie w stronę majora — mam nadzieję, że uda się panu, no i osobiście życzę panu powodzenia”.

Powstał, i uściśnawszy prawicę inspektora, pożegnał się z jego szefem, poczym szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

W gabinecie zaległa cisza, którą przerwał Browling, podając Williamsowi papierosa.

” No, Williams, to jest rzeczywiście nielada zadanie. A musi być wykonane szybko. Liczą tylko na wasz spryt i odwagę. Ja wam niestety nie wiele mogę w tej sprawie pomóc. Otrzymacie komplet dokumentów francuskich i niemieckich, możecie przejrzeć sprawozdania

sytuacyjne naszych agentów, wytworzycie sobie pewien obraz i może natraficie na takie szczegóły, które wam się przydadzą. To wszystko, co wam mogę dać, niestety wiem, że to jest śmiesznie mało. Znacnie dobrze język francuski, możecie uchodzić za Francuza”.

” Więc pan, majorze, uważa, że pracę powinienem rozpocząć we Francji? ”.

” No tak. Przeszmyślujemy was przez Hiszpanję do Francji. Mamy tam swoich ludzi, którzy zrobią to dobrze. We Francji szukać musicie sposobności wyjazdu do Niemiec, na roboty oczywiście. A jak będziecie w Niemczech to już sami postaracie o skierowanie na Śląsk i tak zaczniecie”.

” Jeszcze jeden macie atut, mówicie też niezłe po niemiecku, to może się bardzo przydać. No cóż, Williams, jest to chyba najtrudniejsza robota? ”.

” To nie ważne — odpowiedział inspektor — jeżeli podejmuję się tego, to wiem, że albo podołam zadaniu, albo — tu wykonał nieokreślony ruch ręką — jest wojna, na wojnie giną ludzie”.

A więc, finalizując sprawę, zgłoszcie się do Jacksona, który przygotowuje wam odpowiednie dokumenty i z nim omówicie technikę przerzutu do Francji. Wierzę, że wszystko uda się wam najlepiej i niedługo was ujrzę. Do widzenia Williams”.

Serdecznym uściśkiem dłoni pożegnał podwładnego, klnąc w duchu ciężką służbę, która kazała mu wysyłać najlepszych ludzi na najniebezpieczniejsze placówki.

## II.

W pięć dni po odbyciu przytoczonej rozmowy, inspektor przemieniony już w Pierra Lamour, pomocnika mechanika, znajdował się w pogranicznym miasteczku hiszpańskim. Siedział w chacie chłopca, który był zau-



fanym konfidentem wywiadu. Przeglądając mapy i wzywając się w rolę robotnika francuskiego, czekał na przewodnika, który miał go wieczorem przeprowadzić do Francji. Miał już głównych zarysach ułożony plan działania, postanowił jako "wykwalifikowany mechanik francuski" pojechać do Rzeszy na roboty.

Williams, zawsze spokojny i opanowany, teraz był wyraźnie podniecony. Perspektywa działania na zupełnie obcym terenie pracy wśród ludzi, których znał tylko ze słyszenia, napawała go niemiłym dreszczem.

"Ba — rozmyślał — to nie jest spokojna, domowa, robota. Tutaj już muszę liczyć tylko na siebie. Bacność, Williams! Jesteście zdani tylko na własny spryt i w ostatecznym wypadku na własny browning".

Z browningiem bowiem, sliczną "siódmką", nie rozstał się. Dokumenty niemieckie z pieczęciami różnych "amtów" starannie pozaszywał w marynarkę a ukochany rewolwer spoczywał w prawej kieszeni spodni, razem z zapasowymi magazynem. Zapadł zmrok. Williams pożegnał się z gospodarzem, który zbadawszy uprzednio okolice — mógł się przecieżyć w pobliżu znajdować ktoś niepożądany — wypuścił go na ulicę.

Wolnym krokiem dążył Williams w kierunku umówionego miejsca. Nie różnił się od innych przechodniów. Ubrany był w stary, zniszczony garnitur, również stare, ale za to bardzo wygodne buty i beret baskijski. Wyglądał właśnie tak, jak wyglądać powinien Pierre Lamour. Palił papierosa, oglądając nieliczne wystawy i udął, że nie zauważył wyrostka, który przechodząc uszczypnął go lekko w łokieć. Nikogo też nie mogło zdziwić, że Pierre Lamour idzie w tym samym kierunku, co spalony, na brąz, obdarty chłopak hiszpański. Jedną uliczką, drugą, a za trzecim już zakrętem przechodnie widzieli dwóch przyjaciół, w różnym coprawda wieku, którzy paląc papierosy, prowadzili pogawędkę.

Szybko minęły miasteczko i szli ścieżkami górskimi, o których istnieniu wiedzieli tylko wtajemniczeni. Często przystając i nasłuchując, doszli do stromej drogi, przy której mieli się rozstać.

"Tam jest już Francja — rzekł chłopak, wskazując oddalony o 200 metrów duży głaz — za tym kamieniem droga rozdwaja się na dwie ścieżki. Pójdzie pan na prawo, gdyż lewa prowadzi na posterunek niemiecki. Prawą ścieżką dojdzie pan do niskiego murku, trzeba go obejść, a kilkadziesiąt kroków dalej jest droga do miasteczka Luz. Miasteczko trzeba jednak minąć, jest tam wielu żołnierzy i żandarmów niemieckich i są szpicle francuscy. Musi więc pan Luz obejść, nie przechodzić przez most, tylko pójść kilka kilometrów w górę rzeki. Tam znajdzie pan rozwalony mostek, przez który można od biedy przejść i prosto dochodzi pan do Bagneres. Dalej to pan już wie".

Wskazówki nie były zbyt wyczerpujące, ale Williams z mapy dobrze znał okolice, które miał wędrować. Pożegnał chłopaka i ruszył w samodzielną już drogę.

Nie były to chwile godne zazdrości. Sam, w obcej miejscowości, musiał niesłychanie uważać na każdą ścieżkę, pilnie nasłuchując czy nie zbliża się patrol niemiecki. Szczęśliwie jednak dochodzi do pierwszego mostu przy Luz, maszeruje polami nad rzeką i po 6 godzinach dochodzi do drugiego mostku. Tu odpoczywa chwilę, powtarza raz jeszcze swoje dossier i o 7 rano wstępuje na śniadanie do pierwszej spotkanej w Bagneres knajpki. W lokalu prócz gospodarza znajdowało się dwóch żołnierzy niemieckich. Williams zajął stolik obok nich, zamówił chleb i wino, a zaspokoiwszy pragnienie, wyjął paczkę uprzednio przygotowanych francuskich "Caporali" i poczęstował nimi żołnierzy. Chętnie przyjęli papierosy i potoczyła się rozmowa.



Obecność Pierra Lamour w przydrożnej knajpcie, która wielu takich wędrowców widywała, nikogo nie dziwiła, a Niemcy potraktowali go jako jednego z okolicznych robotników.

Williams opowiedział im, że pracuje w fabryce metalowej i spóźnił się na pociąg, a teraz musi czekać bite 5 godzin na następny. Robił przytym przygnębioną minę.

"No, nie martw się — poklepał go po ramieniu jeden z żołnierzy — możemy cię z sobą zabrać, jeżeli masz papierosy" mruknął porozumiewawczo do towarzysza.

"Oh, będę bardzo wdzięczny...".

"A Arbeitskartę to chyba masz, bo po drodze są kontrole?", zapytał Niemiec, a gdy Williams okazał im doskonale spreparowaną kartę pracy i dowód zatrudnienia w warsztatach samochodowych, wpakowali go do wozu. Ponieważ na drogę kupił Williams jeszcze pół litra wina, w najlepszej komitywie, nie natrafiając szczęśliwie na żadne kontrole, o lo rano wjechał do Tuluzy. Tu rozpoczynała się już wielka gra.

### III.

Pożegnawszy towarzyszących mu żołnierzy, inspektor spacerował ulicami miasta, szukając knajpki, w której mogłby zasięgnąć języka. Dostatecznie niechlujnie wyglądający lokal o wypłowiwałych franeczkach, wydał mu się godnym zainteresowania, zwłaszcza, że gruby właściciel stał w progu, jakby czekając na gości.

"Cóż tak pusto?" zaganął go Williams, zamawiając wino.

"Widać nie jesteście z Tuluzy i nie wiecie co się u nas dzieje" — mruknął gospodarz.

"No tak, szukam pracy".

"Możecie ją szybko znaleźć, tylko nie tam gdzie byście chcieli".

"Co, łapią?" rzucił domyślnie Williams, zamawiając drugie wino.

"I jak jeszcze" — gospodarz nabrał zaufania do gościa, począł mu się uskarżać na ciężkie warunki życia.

"Ci, którzy nie mają Arbeitskarty, woła siedzieć w domu, niż narażać się na złapanie do róbót w Niemczech. Dlatego tak pusto umnie. Nie ma interesów w Tuluzie, wszystko zamarło. Ot, na co przyszło. Nawet nasi policjanci pomagają w łapaniach. Poco ta wojna przekłęta — mruczał gospodarz. Dopóki przychodzą do mnie żołnierze na wino i zupę cebulową, którą moja stara dobrze przyrządza, siedzę spokojnie. Ale, kto wie to będzie jutro".

Williams pokiwiał głową ze zrozumieniem, zapłacił za wino i wyszedł.

Rzeczywiście na ulicach widziało się przeważnie kobiety, które zaopatrzone w potężne koszyki, odbywały codzienną wędrowkę w poszukiwaniu żywności. Wszędzie na murach widniały plakaty o budowie nowej Europy. "Jedź z nami do Niemiec — wotali uśmiechnięci mężczyźni na werbunkowych afiszach — dostaniesz dobre jedzenie, wygodne mieszkanie, a rodzina twoja otrzyma zapomogę pieniężną i dodatkową żywność".

"No, na plakacie wygląda to bardzo pięknie — mruknął do siebie Williams — zobaczymy niedługo tę rzeczywistość".

W bocznej uliczce podał swoje dowody zatrudnienia, które teraz stanowić mogły przeszkodę w realizacji zamierzonego celu, w portfelu został tylko dowód osobisty francuski. Udał się w kierunku dworca, gdzie postanowił przenocować, tam też powinny odbywać się częste kontrole i "werbunek" do prac w Rzeszy.

Pociąg do St. Etienne odchodził według rozkładu o



7.15 rano, a teraz była dopiero 8 wieczór. Wykupił w kasie bilet i usiadł na ławce poczekalni 3 klasy, gdzie po chwili zaczął drzemać. Było już dobrze po północy, gdy zbudziło go mocne szturchnięcie i głośne słowa: Dokumenty!

Otworzył oczy i spojrzał ze zdziwieniem na stojących przed nim mężczyzn. Policjant Vichy w towarzystwie dwóch cywilów (domyslił się odrazu, że są to funkcjonariusze policji niemieckiej) sprawdzali dokumenty pasażerów.

"Prędzej, coż to, nie widzicie, że kontrola?". Williams, udając przerażenie, wyciągnął dowód osobisty i bilet kolejowy i wylekzionym głosem zaczął wyjaśniać policjantowi, że jedzie do St. Etienne, gdzie ma otrzymać pracę w warsztatach samochodowych. Policjant przetłumaczył wszystko cywilom, którzy uśmiechając się odparli po niemiecku: "Jak szuka, zabrać go, pracę dostanie". Po chwili znalazł się inspektor w ciężarowym aucie policyjnym, t. z. budzie, przeznaczonej specjalnie do łapanek ulicznych.

Wewnątrz znajdowało się już kilku młodych Francuzów oraz stary stolarz. Zrozpaczony rzemieślnik opowiadał towarzyszom, jak zabrano go z domu a warsztat jego uznano za nieważny dla produkcji wojennej. Reszta trwała w milczeniu i jedyny Williams był w duszy zadowolony, bo zbliżył się o krok do celu.

Z sali dworcowej wyprowadzono nowe jeszcze ofiary: dwóch Francuzów i młodą kobietę, poczym auto ruszyło i zatrzymało się przed budynkiem szkolnym, zamienionym za koszary niemieckie.

Pobyty w koszarach trwał trzy dni. Przez cały czas kandydaci na robotników otrzymywali po litrze czarnej kawy oraz kawał razowca — jako wyżywienie dzienne. Inspektor, z zazdrością myślał o kolegach spożywających w Londynie lunch z doskonałym beefem,

podczas gdy jego lunchem był obrzydliwy chleb z plewami i kawa. Czwartego dnia odbyła się rejestracja, powierzchnia komisja lekarska (wszyscy oczywiście zdrowi) i cały transport załadowano do silnie strzeżonego pociągu towarowego, który woził robotników do Rzeszy.

Wagon Williamsa, w którym było 30 robotników, otrzymał kubek kawy, 20 bochenków chleba i 4 puszki konserw na całą drogę. Nie było to zbyt obfite pożywienie, gdyż dopiero po trzech dniach pociąg wjechał na dworzec we Wrocławiu. Chociaż zmęczony i wygłodzony podróżą, inspektor cieszył się, że Niemcy sami wiozą go w zakłete rewiry śląskie.

"Gdyby wiedzieli, ach gdyby wiedzieli — powtarzał w duchu — jakiego to robotnika wiozą wśród swoich ofiar, miny mieliby nie tęgie".

We Wrocławiu prosto z dworca cały tłum nowoprzybyłych poprowadzono do Arbeitsamtu, gdzie wszystkich zarejestrowano i spisano personalja. Williams podał się za mechanika samochodowego, dodał że zna trochę język niemiecki. Otrzymał piękną Arbeitsbuch (książkę pracy) i skierowanie do zakładów metalowych "Berthold" pod Wrocławiem.

#### IV.

Z pięcioma Francuzami, przeznaczonymi również do "Bertholda" znalazł się Williams w biurze personalnym fabryki. Urzędował tam starszy Niemiec z odznaką partji hitlerowskiej w klapie.

"Umiesz robić na tokarce czy frezarce" — zwrócił się per ty do Williamsa. Ten łamaną niemczyzną zaczął wyjaśniać, że jest mechanikiem samochodowym, na tokarkach się nie zna, ale sądzi, że sobie jakoś poradzi.

"A, mówicie po niemiecku — urzędnik z zado-



wolonia przeszedł na uprzejmiejszą formę "wy" — to to dobrze. Niewielu z was zna niemiecki, teraz zaczynacie się uczyć, wiecie, że bez niemieckiego nic w Europie zrobić nie można. Cała Europa nauczy się niemieckiego — dodał podniesionym głosem — rozumiecie?"

I tak, dzięki znajomości zniechęconego języka, inspektor został tłumaczem na sali 8 fabryki "Berthold" która produkowała łożyska kulkowe.

Szybko zaprzyjaźnił się z robotnikami. Dowiedział się, że wszyscy znajdują się tu przymusowo. Na sali 8 ej największy procent stanowili robotnicy francuscy, w innych działach pracowało dużo Polaków, Serbów i Włochów. Ci, którzy przebywali w fabryce ponad 6 miesięcy swym zachowaniem wzbudzili zaufanie władz, mieli prawo mieszkać na mieście.

Fabryka jeszcze przed wojną produkowała łożyska kulkowe do samochodów i samolotów, a teraz pracuje tylko dla przemysłu wojennego, pilnowana przez Werkschutz. Po kilku dniach dowiedział się, że szeregi Werkschutzu tworzą zaufani hitlerowcy i że w fabryce zatrudnieni są i Żydzi. Przywiezieni zostali z okolic Gliwic, gdzie pracowali w specjalnych fabrykach, warsztaty ich t. z. tokarnia C mieszczą się w suterynach fabrycznych, są tam sami tachowcy przemysłu metalurgicznego.

Gdy Williams usłyszał, że Żydzi pracowali w specjalnych fabrykach, postanowił porozumieć się z nimi, a nuż coś ciekawego będą mogli powiedzieć. A nie było to rzeczą łatwą, gdyż zejście do piwnic było ciągle pilnowane przez SS-mana. Dopiero alarm lotniczy ułatwił zadanie.

Gdy syreny fabryczne obwieściły zbliżanie się samolotów alianckich, wszyscy strażnicy i robotnicy udali się szybko do schronów. Żydów nie wypuszczono, wartownik zamknął na sztabę żelazną drzwi do tokarni C i

czemprędzej, gnany strachem o całość własnej skóry, uciekł do schronu.

Chwilę tę wykorzystał inspektor, który schowany za zdekompletowaną tokarką Durera, wyskoczył teraz i ostrożnie podszedł do zamkniętych drzwi. Z drugiej strony słychać było ruch i ściszone rozmowy. Williams zaskrobał kilka razy w deskę i zawołał cicho po niemiecku: "nie bójcie się, tu przyjaciel" przykładając ucho do dziurki od klucza. Usłyszał zmęczony głos, który łamaną niemiecką próbował coś powiedzieć. Williams, że jest robotnikiem francuskim, a dowiedziawszy się, że pracują tu i Żydzi, chce się dowiedzieć jak im się wiedzie.

"Źle, bardzo źle — usłyszał opowiedz — może ma pan choć kawałek papierosa?"

Williams wsunął parę papierosów przez dziurkę od klucza a ponieważ syreny zaczęły odwoływać alarm, obiecał, że w najbliższej przyszłości znów ich odwiedzi i szybko uskoczył do swej kryjówki za tokarką. Wmieszał się w tłum wracających ze schronu robotników i znalazł się na sali.

Niecierpliwie oczekiwał teraz odwiedzin alianckich bombowców i przy najbliższym alarmie, gdy detonacje bomb obwieściły, że nalot odbywa się gdzieś blisko, znalazł się przy znajomych drzwiach.

Po tamtej stronie już oczekiwano na niego. Wsunął papierosy i od rozmówcy dowiedział się, że pracuje tu 160 Żydów. On sam, pochodzi z Częstochowy i z najstarszym synem pracował początkowo w fabryce w Opolu. Ale tam teraz rozpoczęły fabrykacje nowych pocisków i zostawili tylko młodych robotników, resztę przewieźli do Wrocławia. Dowiedział się Williams, że syn nieszczęsnego robotnika nazywa się Heniek Szwarz. Po kilkuminutowej rozmowie znał szczegóły dotyczące interesującej go fabryki i wiedział, że do niej trafi.



Następne dni pobytu w fabryce Williams przepędził bardzo nerwowo, obmyślając plan dostania się do Opola.

Na szczęście nie przeprowadzano u niego rewizji, za podszewką marynarki spoczywały przeto spokojnie blankiety różnych Arbeitsamtów niemieckich i karty pracy.

W najbliższy piątek Pierre Lamour znajdował się w grupie jadącej do Wrocławia po mydło kontyngentowe dla robotników.

Gdy dozorujący Werkschutz zajęty był liczeniem skrzynek mydła, Williams uskoczył w boczną uliczkę, szybkim krokiem doszedł do zakrętu, wszedł w tramwaj i spokojnie dojechał do Cyrku Buscha. Tam zszedł do podziemnego szaletu gdzie przesiedział pół godziny, wyprawiając potrzebne dokumenty. Na podstawie zebranych w fabryce informacji wiedział już, że fachowcy często są skierowywani z pierwotnych miejsc pracy do fabryk specjalnie ważnych dla przemysłu wojennego t. z. "A" — Betriebe. Posiadał nawet blankiet takiego przeniesienia, który szybko wypełnił i w kasie biletowej na dworcu, dokąd pojechał tramwajem, przedstawił skierowanie miejscowego Arbeitsamtu do Arbeitsamtu w Opolu fachowca Pierra Lamour. Na tej podstawie wydano mu bez trudności bilet.

Czekającego na dworcu inspektora spotkała jeszcze jedna kontrola. Dokumenty, które przedstawił, nie wzbudziły podejrzeń, żandarmi narzekali tylko na Francuzów, którzy ciągle są gdzieś przesyłani i kręcą się po dworcach.

"Mogliby ich zgrupować w jednym miejscu, a nie stale przenosić, tylko kłopot dla nas" — usłyszał słowa oddalających się kontrolerów.

## V.

"Dlaczego właściwie skierowano pana do nas? — pytano Williams w Opolu — mechanik to nie jest żadna specjalność, a zresztą nie ma żadnych wyjaśnień w pana skierowaniu. Cóż z panem zrobić?"

"Przyjechałem do Rzeszy dobrowolnie — tłumaczył Williams swoją specyficzną niemczyzną. Pracowałem we Wrocławiu 10 miesięcy, a ponieważ znam niemiecki i dobrze już robię na tokarce, przesłano mnie tutaj.

Urzędnik ponownie przejrzał jego dokumenty, sprawdził dowód z Wrocławia wypisał skierowanie do "Schlesische Waffenfabrik", osteplował kartę przejazdową i przydzielając Lamourowi eskortę, odesłał go do fabryki. Zabudowania fabryczne mieściły się na krańcu miasta. Był to kompleks budynków, otoczony szerokim i wysokim murem, co 500 metrów ustawione były wieże strażnicze. Fabryka pilnowana była przez wojsko, Werkschutz pełnił tylko służb wewnętrzną. Na wartowni długo oglądano jego papiery zanim wpuszczono na teren fabryczny.

"No, chyba trafiłem dobrze, udało się" pomyślał Williams, zbliżając się do biura fabryki.

W wydziale personalnym dyżurujący sierżant dziwił się bardzo, oglądając papiery inspektora i spytał czy zna język niemiecki. Gdy usłyszał twierdzącą odpowiedź w poprawnej niemczyźnie, zrobił jeszcze bardziej zdziwioną minę i mruknął: "zupełnie nie rozumiem poco tego tu przystali". Ale po przejrzeniu skierowania Arbeitsamtu opolskiego kazał zaprowadzić do sekcji IV. Specjalnością sali były kapsle do pocisków. Po dwudniowym pobycie zrozumiał zdziwienie sierżanta. Robotnicy poszczególnych działów mieszkali osobno, nie wolno im było kontaktować się ze sobą. Szybko zawarł bardzo po-



żyteczną znajomość: jeden z Polaków, który znał język francuski, poczuł sympatię do nowego robotnika i podał mu wiele ciekawych szczegółów. Fabryka produkuje nową broń, ale jedna sala nie wie co robi druga, są ściśle izolowane. Właściwie jest to obóz karny. Przechodzą tu po większej części Polacy z obozu koncentracyjnego z Gross-Rosen, skazani za działalność polityczną, jest również grupa polskich Żydów. Ale mimo surowej kontroli, robotnicy kontaktują się ze sobą, przenikają czasem wieści ze świata. Zaczął wypytywać Williamsa o ostatnie nowiny, a wiadomość o lądowaniu aliantów na Sycylii uradowała go tak bardzo, że słowa nie mógł z siebie wydobyć i tylko długo ścisnął rękę inspektora.

Warunki mieszkaniowe były fatalne. Robotnicy sypiali na pryzkach, ustawionych w trzy piętra, w olbrzymich salach źle wietrzonych i nie opalanych. Wieczorami dodatkowymi towarzyszami były roje pluskw, których w żaden sposób nie można było wytępić. Choć pożywienie było stosunkowo lepsze niż we Wrocławiu, robotnicy wyglądali nędznie. Stępały wzrok i ciężki krok mówił, że to ludzie odseparowani od normalnego życia, nie mający nawet nadziei na polepszenie warunków.

Po dwóch dniach wezwano Williamsa do fabrycznego Sicherheitsdienst. Tam wypytywano go o wszystkie szczegóły dotychczasowego życia i o pracę w poprzedniej fabryce, wszystko notował podoficer, który zadawał mu mu wciąż nowe pytania. "No, ale nie dowiesz się więcej, niż ja zechcę" myślał Williams, recytując bez zajęcia koleje życia Pierra Lamour. Przesłuchanie wypadło pomyślnie, a po powrocie do swego baraku, przekonał się, że miał rację chowając swe "skarby". W rzeczach jego przeprowadzona była rewizja, nie odrazu dopuszczano tutaj nowego robotnika do pracy.

Sytuacja była ciężka. Niewątpliwie w Opolu za-

pytają o niego, rozumował słusznie inspektor, pismo z zapytaniem pójdzie drogą służbową, ma zatem kilkanaście dni czasu, musi się śpieszyć. Po dwóch dniach pracy zorientował się, że sam nie zdoła nic zrobić. Zbliżył się więc do młodego Polaka, który udzielił mu pierwszych informacji. Williams zaczął wtajemniczać go w swoje sprawy. Urodzony konspirator, członek podziemnej armii polskiej, nadawał się do pomocy nadzwyczajnie. Obiecał z entuzjazmem, że zrobi wszystko by pomóc inspektorowi. Miał w fabryce przyjaciela, razem z nim wywiezionego, który też mógł zebrać trochę potrzebnych wiadomości. Tak więc maszyna została puszczona w ruch i teraz należało tylko czekać na wyniki pracy. Równocześnie musiał obmyśleć Williams drogę odwrotu, gdyż po zebraniu potrzebnych wiadomości, nie chciał już dłużej sypiać z pluskwami.

Po upływie tygodnia, na podstawie informacji zebranych przez polskiego przyjaciela, miał już wymiar pocisków oraz próbkę materiału wybuchowego. Wchodził tam między innymi ekrazyt, do którego dodawany był specjalny stop metalowy. Próbkę i tego stopu również spoczywała już pod deską Pierra Lamour. Williams był pełen podziwu dla swego towarzysza, który w tak szybkim czasie zdobył najważniejsze szczegóły.

"Gdyby to wiedzieli dozorczy" — powtarzał z satysfakcją do młodego Polaka. A ten spokojnie kręcił swoją tokarkę, jak gdyby nigdy nic i tylko porozumiewawczo mrugnął okiem.

Pozostawało jeszcze dowiedzieć się szczegółów o działach, do których w fabryce produkowano pociski. Ale w tym mogli mu pomóc tylko Żydzi.

I znów dzięki interwencji dzielnego Polaka, znalazł się inspektor następnego dnia przy drutach, gdzie mieszkali "pasjaki". Spytał o Szwarca, dowiedział się, że



istotnie chłopiec o takim nazwisku pracuje w fabryce.

Polecił jego współtowarzyszom, aby sprowadzili go do drutów na wieczór.

Z wielkimi trudnościami dostał się o zmroku na umówione miejsce i rzeczywiście za drutami widniała wynędzniała chłopięca postać w pasiastym chałacie. "Widziałem twego ojca" — rozpoczął Williams — martwi się bardzo o ciebie".

Chłopiec ze wzruszenia zaczął płakać, myślał bowiem, że ojca wywieźli Niemcy na stracenie do Oświęcimia. Williams opowiedział mu najbardziej pocieszające szczegóły o ojcu, poczym delikatnie zaczął wypytywać małego Szwarca o warunki pracy.

"My tu ładujemy pociski na samochody i specjalna grupa wyładowuje je w Gliwicach. To jest wielka tajemnica te pociski ale my i tak pójdziemy na gaz i dlatego je wozimy". Chłopiec wiedział dużo i Williams umiejętnie stawianymi pytaniami uzyskał od niego bardzo cenne informacje. Wiedział już więc, że w Gliwicach odbywały się próby strzelania z nadzwyczajnym ponoć wynikiem. W Gliwicach również produkowano części dział, chłopiec miał te wszystkie informacje od Żydów, pracujących w Gliwicach. Po tej rozmowie Williams znalazł już położenie fabryki w Gliwicach, miejsce magazynowania pocisków, rozkład hal fabrycznych, zdobył maksimum wiadomości. Przez trzy dni uzupełnił wszystkie zebrałe materiały i oczekiwał odpowiedniego momentu na oderwanie się od fabryki. Rewolwer spoczywał w prawej kieszeni spodni, a marynarka wyładowana była dokumentami.

W końcu, gdy możliwość ucieczki sama nie przychodziła, czwartego dnia opracował Williams bardzo ryzykowny plan, w którym miał mu pomóc polski przyjaciel.

Baraki mieszkalne znajdowały się w odległości 600 metrów od budynku fabrycznego, otoczone były drutem kolczastym, a u bramy uzbrojony strażnik kontrolował każdorazowo wyjście i wejście robotników. Samo więc wydostanie się tylko na teren fabryczny nastroczało dużo trudności.

Nocna zmiana 30 robotników szła do pracy. Williams przyłączył się do nich, idąc na ostatku razem z Polakiem. Nad bramą świeciła tylko jedna, słaba żarówka, ze względu na stałe pogotowie przeciwlotnicze, wszystkie zabudowania były bardzo słabo oświetlone, a po obu stronach drutów, odgradzających baraki od fabryki, panowały ciemności.

Gdy grupa robotników doszła do strażnika, przyjaciel Williamsa pozostał w tyle, on sam przesunął się obok kontrolującego, podając tylko swój numer. "Trzydziesty". Tak, w porządku mruknął strażnik, który wiedział, że właśnie trzydziestu robotników miało o tej porze przejść na nocną zmianę. Po przejściu bramy Williams stanął w załamaniu muru i czekał. W chwilę później do strażnika podbiegł Polak, tłumacząc, że opadły mu spodnie i dlatego się spóźnił.

"Ach, wy przekłęci Polacy, ciągle wprowadzacie jakieś zamieszanie, wydawało się że wszyscy przeszli, a tu zjawia się nowy, ciągle jakieś wymówki" — gderał strażnik, zamknął bramę, chowając się do swej budki.

Williams przeczekał jeszcze chwilkę, poczym ostrożnie z palcem na cynglu rewolweru, zbliżył się do zabudowań fabrycznych. Zabudowania fabryczne były pilnie strzeżone. Co kilkanaście minut z za rogu wylaniał się strażnik, który obchodził budynki. Inspektor zaczął się we wgłębieniu muru, a gdy usłyszał ciężki krok strażnika, sprężył się cały, skoczył i po chwili bezwładne ciało Niemca leżało na ziemi.



"No, tym razem udało się — odetchnął inspektor — ani mruknął".

Błyskawicznym ruchem zakneblował strażnikowi usta, ściągnął mundur, związał ręce i nogi, poczem umieścił go, niczym oprawionego cielaka, w lewym rogu budynku, rozumując, że kontrola nadejść może od gmachu głównego, to znaczy ze strony prawej.

Teraz szybko przebrał się w mundur strażnika, ubrał swoje zapakował w przygotowany już papier i normalnym, żołnierskim krokiem ruszył w stronę głównego wyjścia. Chwilę przeczekał w ciemnościach, a gdy grupa strażników, powracająca z dziennej zmiany, przechodziła przez bramę, szybko podążył za nimi i nie wzbudzając niczych podejrzeń, znalazł się po drugiej stronie muru. Zakłeta fabryka była za nim. Ale teraz musiał się bardzo śpieszyć, gdyż każdej chwili kontrolujący służbę podoficer, mógł odnaleźć związanego strażnika i zrobić alarm. Ponieważ uprzednio dobrze zapamiętał drogę ze stacji do fabryki, szybko przeto znalazł się na terenie dworca osobowego, obszedł budynek i wzdłuż toru doszedł do stacji towarowej. Po drodze spotkał dwa patrole żandarmerji, pozdrowił je krótkim "Heil Hitler" i nie zatrzymywany po chwili jest już wśród wagonów towarowych. Usłyszał zbliżające się kroki, wskoczył na pierwszy wagon, który załadowany był drzewem i tam skrył się pod belami. Ponieważ w pobliżu torów ciągle kręcili się jacyś ludzie, Williams przesiedział pod drzewem około godziny. Już chciał zeskoczyć, gdy usłyszał gwizdki i nawoływania.

"Niedobrze, już mnie szukają" pomyślał i wcisnął się głęboko w najciemniejszy zakątek między belami.

Rzeczywiście nie omylił się w swym przypuszczeniu. W fabryce, gdy znaleziono nieprzytomnego strażnika, przeprowadzono rewizję w barakach i salach fabrycznych i odkryto ucieczkę Williamsa. Natychmiast za-

wiadomiono wszystkie posterunki oraz straż kolejową i teraz uzbrojeni Bahnschutze przeprowadzali skrupulatne badanie wszystkich wagonów, szukając zbiegłego robotnika.

Wokół Williamsa zaczynało być bardzo gorąco. Gwizdki i nawoływania zbliżały się coraz bardziej, a po chwili mocne światło elektrycznej latarki zaczęło szperać po wagonie, stanowiącym schronisko zbiega. Williams skulił się bardziej, gotów w każdej chwili do skoku, w rękę trzymając odbezpieczony rewolwer.

"Tak to trudno szukać — posłyszał po chwili głos jednego ze strażników — w tych belach w ciemności nic nie znajdziemy, trzeba sprowadzić Rexa". Inspektor rozumiał, że mowa o psie policyjnym i struchlał, gdyż oznaczało to niechybne odnalezienie jego kryjówki. Gdy straż oddaliła się, idąc po psa, Williams powoli wychylił się z drugiej strony wagonu i spostrzegł, że na czwartym torze stoi pod semaforem pociąg. Lokomotywa buchała parą, co świadczyło, że pociąg lada chwila ruszy. Bezszereście zeskaje z wagonu, na brzuchu przepelza tory i wskakuje do będącego już w ruchu pociągu osobowego. Tam zamyka się w WC i zapoznaje się ze swymi nowymi dokumentami.

Nazywa się teraz Kurt Weichert (fotografia nie bardzo podobna, trudno, jakoś to będzie), jest werkschutzem "Schlesische Waffenabrik". Doprowadza do porządku mundur, przybrudzony ostatnią przeprawą, opuszcza gościnne WC i wchodzi do przedziału, gdzie siedzą sami wojskowi. Obowiązkowe "Heil Hitler", zajmując miejsce przy drzwiach i po chwili udaje że zasypia. Towarzysze podróży prowadzą przyciszoną rozmowę, z której wynika, że pociąg ten jedzie z Wrocławia przez Opole do Krakowa i za chwilę zatrzyma się w Trzebini na granicy Rzeszy i Generalnej Guberni.



Gdy lokomotywa gwizdem oznajmia wjazd na stację, Williams opuszcza przedział i staje przy drzwiach wyjściowych.

Zgrzytnęły hamulce, po prawej stronie zabłysnęły światła dworcowe. Inspektor szybko wyskakuje i przechodzi na boczny tor.

"Hände hoch!" — usłyszał nagle z tyłu. Odwraca się i widzi skierowany w jego stronę maszynowy pistolet. Podnosi powoli ręce go góry, mózg gorączkowo pracuje. "Niedobrze-myśli-może być bardzo gorąco, stacja mocno obstawiona".

"Ach, to Niemiec — słyszy po chwili zdziwiony głos żandarma — co robicie tu u diabła?"

"Jadę służbowo" — dopowiada spokojnie inspektor.

Żandarm jest wyraźnie speszony widokiem munduru i grzecznym tonem prosi o dokumenty. "Teraz tyłu tych Polaków ucieka z robót — dadaje wyjaśniająco — myślałem, że to jeden z nich".

Williams sięga ręką do kieszeni niby w poszukiwaniu dokumentów. W tej chwili zagwizdała lokomotywa i na sąsiednim torze ruszył pociąg towarowy. Zgrzyt kół zagłuszył huk wystrzału, który położył kres życiu zbyt ciekawego w swej służbistości żandarma.

Wielkimi krokami, starając się być jak najmniejszym i prawie niewidocznym, przeskakuje tory i wydostaje się na pola. Po drodze mija budynki fabryczne z widniejącym w nylkim świetle napisem. Schicht S. A. Trzebinia. Wie że na wschód jest Polska. Jest piąta rano i robi się szarawo, musi się śpieszyć.

Po dwóch godzinach marszu znajduje się w małym zagajniku, gdzie urządza chwilowy odpoczynek. Po krótkiej przerwie idzie dalej i około godziny 11 rano dochodzi do stacji Żabkowice, jest już w Polsce.

Tam, w bufecie kolejowym zjada śniadanie, złożone z białego chleba i czarnej, niesłodzonej kawy.

W spadku po Kurcie Weichertcie odziedziczył 300 marek. Otwiera teraz portfel, kładąc na wierzchu banknoty i mruga porozumiewawczo do kelnera, dając mu do zrozumienia, że chciałby je wymienić. Kelner konfidencyjnym ruchem zagarnia niemieckie banknoty i po chwili Williams jest posiadaczem sześciu loo — złotych z nadrukiem Bank Emisyjny w Polsce.

"No, mam już i polskie pieniądze — westchnął zadowolony — teraz trzeba dalej". Z rozkładu kolejowego wie, że najbliższą stacją jest Częstochowa, zna ją już z opowiadań Szwarca. Kupuje bilet i po godzinie znajduje się w przedziale "nur für Deutsche". O 3 popołudniu jest w Częstochowie.

Na dworcu widzi jak gestapowcy kontrolują wszystkich pasażerów, przyłącza się więc do dwóch żołnierzy niemieckich i wraz z nimi wychodzi oddzielnym wyjściem dla wojskowych.

W obcym zupełnie mieście sytuacja Williamsa nie jest zbyt wesoła. Nie zna języka ani stosunków, a do tego jest piekielnie zmęczony. Chwilowo chroni go niemiecki mundur strażniczy, na wypadek jednak kontroli wojskowej tenże mundur może być powodem straszliwej katastrofy i natychmiastowego aresztowania. Oglądając liche wystawy, idzie główną ulicą i rozmyśla nad wynalezieniem wyjścia z sytuacji, gdy spostrzega hotel z wywieszką: tylko dla Niemców.

"No, tu chyba kontroli nie będzie" — myśli w duchu. Beztroskim krokiem wchodzi do hallu, zamawia pokój, wypełnia kartę meldunkową jako Kurt Weichert, legitymując się książką służbową Weicherta z Opola.

Po zapłaceniu urzędowej ceny, udaje się do przeznaczanego pokoju. Tam rzuca się na łóżko i śpi 18 godzin.



## VI.

Gdy obudził się było właśnie południe i słońce ciekawie zaglądało przez zasunięte sztory, dodając inspektorowi otuchy do dalszej walki. Dziarsko zerwał się z łóżka, wysiłek i nerwowe napięcie ostatnich dni przeminęły bez echa. Ubrał się w swój stary, zniszczony, garnitur cywilny i opuścił gościnny pokój. Przechodząc obok łoża portiera, wyjaśnił że wychodzi w cywilu, bo chce coś lepszego zjeść nie w urzędowej restauracji. W prawej kieszeni marynarki spoczywały dokumenty Kurta Weichertera, w lewej — Pierra Lamour, w kieszeni zaś spodni oczywiście browning.

Spacerując ulicami miasta widzi, że po ulicach krążą liczne patrole żandarmerji niemieckiej, która legitymuje przechodniów. "Hm, i tu źle — myśli Williams — trzeba jak najszybciej się stąd ulotnić, póki tu jestem muszę uważać na patrole. O, tam idzie właśnie trzech", skrzyknął w boczną uliczkę i wstępuje na obiad do małego, schludnie wyglądającego lokalu. Właścicielką knajpki jest starsza, przystojna jeszcze pani, władająca doskonale językiem francuskim. Okazuje się w czasie rozmowy, że jest żoną przemysłowca, którego Niemcy jeszcze w 1939 roku wywieźli i ślad po nim zaginął. Fabryka została skonfiskowana, a ona wyrzucona na bruk. Jest sama z matką starszka i dwoma córkami, z których jedna pomaga w kuchni, druga zaś jeździ pod Radomsko i skupuje u chłopów żywność. Pani Dąbrowska (przedstawiła się bowiem "Francuzowi", nabrawszy do niego sympatji) opowiada o ponurym życiu w mieście pod okupacją. "A niedawno — ciągnie pani Dąbrowska — zarekwirowano córce w pociągu cały towar; jakie tu ceny można brać od gości, gdy jest się narażonym na ciągłe straty." Opowiedziała także, że w okolicach Częstochowy i samym mieście pracują w fabrykach liczni Fran-

cuzi, a kilku ich odwiedza jej lokal co sobotę. Ta wiadomość była dla Williamsa niezwykle cenna. W swym "archiwum" bowiem miał i kartę urlopowa Pierra Lamour. Mógł wyjechać z Częstochowy na urlop do Francji. Stempel Arbeitsamtu na karcie urlopowej był celowo niewyraźnie odbity, by dokument stosować można było prawie wszędzie, wyraźna natomiast była "gapa" — hitlerowski orzeł ze swastyką. Należało wypełnić tylko rubryki: miejsce pracy i nazwę fabryki oraz wstawić datę. W pokoju hotelowym, z wdzięcznością myśląc o Jacksonie, który nawet o karcie urlopowej nie zapomniał, wypełnia puste rubryki. Mundur strażniczy Kurta Weichertera w elegancko zapakowanej paczce wędruje do urzędu pocztowego i nadany zostaje do pana Stefana Kręcika (takie nazwisko nosi krawiec naprzeciwko dworca) do Krakowa. Dokumenty Weichertera inspektor niszczy aby już dalej nie stwarzać niebezpieczeństwa podwójnej osobowości i udaje się na dworzec. W kasie przedkłada dokument urlopowy i otrzymuje bilet przez Katowice do Strassburga wraz z pieczęcią na karcie, że bilet wydano.

"No, taka pieczęćka też jest coś warta" — myśli z zadowoleniem, wpatrując się czule w powoli schnącą czarną plamę. Na pociąg musi czekać do wieczora. Przy wyjściu na peron znów kontrola, z tłumu podróżnych na oko wybiera się podejrzanych do rewizji i kontroli dokumentów. Williams, w zniszczonym garniturze, już zdaleka wymachujący swą kartą urlopową, przechodzi niezatrzymywany. Na peronie czekał jeszcze ze dwie godziny. Opóźnienie, jak wynioskował z podsłuchanych rozmów, spowodowane było uszkodzeniem torów przez bomby zegarowe, sabotaże często zdarzały się w Polsce.

Wreszcie zasapany pociąg Warszawa-Katowice wpadł na stację. Tym pociągiem miał tylko dojechać do Katowic, a tam przesiąść się na pociąg do Pragi, gdzie znów przesiadka na Strassburg.



Przed Katowicami, miasto leżało już w granicach Reichu, ostra kontrola graniczna.

"Ależ wy nie macie pieczętki Wehrkreiskommando, która obowiązuje już od 3 tygodni — mówi żandarm oglądając dokumenty Pierra Lamour. Nie rozumiem jak wydali kartę urlopową w Arbeitsamcie bez tej pieczętki. Musicie wysiąść do sprawdzenia".

"Dobrze, proszę mi wskazać, gdzie mam tą sprawę wyjaśnić" — mówi zdetonowany Williams, który klnie w duchu wszystkie pieczętki i nowe rozporządzenia.

"Jestem Francuzem — tłumaczy dalej — zgłosiłem się na roboty dobrowolnie, pracuję już 14 miesięcy i teraz otrzymałem urlop. Moje papiery są w porządku".

"Wyjaśnicie to na posterunku, tam pod zegarem stacyjnym — wskazuje żandarm — po sprawdzeniu wagonu sam tam przyjdę".

Williams posłusznie wychodzi z przedziału, zamiast jednak skierować się pod wskazany zegar, obchodzi lokomotywę i z drugiej strony toru zbliża się do pierwszego wagonu, który okazuje się wojskowym wozem sanitarnym. Jest ciemno, a dyżurujący żołnierz przypala właśnie papierosa. Williams bezszelestnie wskakuje do wagonu i wpełza pod łóżko pierwszego przedziału. Na szczęście przedział ten jest pusty i światła w nim nie zapalono.

Tymczasem żandarm, który po obejściu wagonu, wrócił na posterunek i nie zastał tam francuskiego robotnika z zakwestjowanymi dokumentami, wszczął alarm. Obstawiono natychmiast Bahnschutzami i żandarmerią pociąg, skrupulatnie sprawdzano wagony i kontrolowano wszystkich pasażerów.

"Tu nie ma nikogo — usłyszał Williams głos żołnierza pełniącego wartę przy wagonie sanitarnym — tylko te drzwiczki są otwarte, a ja cały czas przy nich stoję".

"Donnerwetter — zaklął żandarm — ten przeklęty Francuz musiał skryć się na dworcu, no teraz pokażemy mu, przeszukamy wszystkie dziury. A tak niewinnie wyglądał".

Pociąg uznano wreszcie za dostatecznie skontrolowany i puszczono w dalszą drogę. Po minięciu kilkunastu stacyjek, pociąg zaczął zwalniać biegu. Katowice. Williams, jaknajciszej wysuwa się ze swej kryjówki, ostrożnie otwiera okno, przechodzi przez nie i możliwie wysoko podciągnawszy szybę, zeskakuje w chwili, gdy pociąg zatrzymał się pod zamkniętym semaforem. Odległość od ziemi była nadspodziewanie duża i przy skoku nadwyreżył nogę w kostce.

"Psiakrew — zaklął — trzeba mieć oczy kota". Nie było jednak czasu na oddawanie się żalom, gdyż w oddali majaczyły czerwone światła pociągu którym mógł być D-Zug do Pragi, a stracił już i tak klikanaście minut drogocennego czasu. Zaciskając usta z bólu, pędem biegnie do czerwonych świateł i wsiada do ostatniego wagonu. Przewidywał słusznie, był to pociąg do Pragi. Po kilkunastu minutach, długich jak wieki, pociąg rusza.

Wagon był pełen, wszyscy pasażerowie spali w najróżniejszych pozach i biedny inspektor musiał stać w ciemnym korytarzu, choć noga w kostce bolała go nieśmiłosiernie.

Kontrola na granicy Reichu i Protektoratu czeskiego była tylko formalnością. Zaspany żandarm automatycznie przyłożył na odwrocie przepustki pieczętkę: kontrola graniczna, nie sprawdzając reszty dokumentów.

Bez niespodzianek wjechał Williams o 9 rano do Pragi.



Na dworcu centralnym w Pradze panował olbrzymi ruch. Raziło to nawet trochę Williamsa, który ostatnio przebywał w mniejszych miastach, gdzie puls życia był wraźnie przytłumiony wojną. Postanowił skorzystać z okazji i zwiedzić "złotą Praagę". Ulice tętniły życiem, duży ruch samochodowy.

"Pierwsze miasto, po którym wojna jakoś spłynęła" — pomyślał Williams. Złudzenie to szybko jednak minęło, gdy przekonał się, że towary leżące na wystawach są wzorami nie do sprzedania. Czesi: byli ubrani jakoś porządnie, to prawda, czuli się nawet pewniejsi siebie, ale i tu wisiały plakaty o egzekucji "agentów czeskich będących na żołdzie Londynu".

Spacerował głównymi ulicami miasta, był na moście na Weltawie i miał nawet ochotę wstąpić do eleganckiej kawiarni, która nęciła go widokiem wytwornie ubranych kobiet, szybko jednak zrezygnował z tego projektu.

Zbyt cenne miał przy sobie papiery, nie wolno mu było ryzykować.

Wolnym krokiem wrócił na dworzec.

"Mieszkam ostatnio w pociągach — ironizował w duchu — wsiadając do wagonu mającego go zawieść przez Lipsko i Drezno do Strassburga — trzeba będzie zmienić technikę podróży, posterunki na granicy francuskiej mogą, być uprzedzone, zwłaszcza gdy w Opolu dostaną odpowiedź z Wrocławia i powiążą z moją osobą incydent na dworcu w Katowicach. Może już na granicy nawet chętnie wyczekują na pana Pierre Lamour. Trzeba teraz bardzo uważać".

Jechał tymczasem w tłoczonym i dusznym wagonie. Podróżowało niewiele cywilów, większą część pasażerów stanogili umundurowani Niemcy.

Na granicy Reichu znów formarnia kontrola, jeszcze

jedna pieczętka graniczna i pociąg mijając Bodenbach, Pirnę, Drezno, przedziera się przez Bawarję (jadą okrężną drogą gdyż naloty aljanckie zniszczyły linie na Pilzno) ku Nadrenji, aż w końcu po kilkunastogodzinnej jeździe lokomotywa przeciągłym gwizdem obwieściła przybycie do Strassburga.

"No, tutaj jeszcze mogę wjść za Francuza, jadącego na urlop, ale co dalej? Gdyby nie to przekłete rozporządzenie — rozmyśla inspektor — gdyby, gdyby, a tu trzeba powziąć decyzję".

Wsiada do podmiejskiej kolejki, która zawozi go do małego miasteczka alzackiego Colen, odległego o lo kilometrów od granicy nowej Rzeszy i Francji.

"Jeszcze tej nocy muszę zdobyć granicę — postanawia — w małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają odrazu zwróciłbym uwagę i wtedy stracony cały mój wysiłek".

Stacyjka kolejki znajduje się na krańcu miasteczka, Williams, po wyjściu z wagonu, kieruje się odrazu na pola i wolnym krokiem idzie w kierunku rzeki, która stanowi granicę. Nie ma jeszcze obmyślonego planu działania, nie wie jak przejdzie przez punkt graniczny, chce być jak najprędzej na miejscu. Jest godzina 6 rano i w okolicy nie widzi nikogo, idzie więc zupełnie pewnie. Tam odpocznę — obiecuje sobie po godzinnym przeszło marszu, widząc z oddalę kępę drzew. I w tejże chwili spostrzega wylaniających się z pośród drzew, dwóch żandarmów z psem, kierujących się wprost na niego. Pewnym krokiem zbliża się do Niemców, pozdrawia ich i pyta o drogę do postrunku granicznego.

"Jestem robotnikiem francuskim — wyjaśnia, wyciągając dokumenty Pierre Lamoura — jadę na dziesięciodniowy urlop do domu i źle zajechałem. Chcę dojść teraz do punktu granicznego". Żandarmi rzucają fachowe spojrzenie na dokumenty, a widząc ostatnie pie-



częście graniczne, dochodzą do wniosku, że nieznajomy musi być w zupełnym porządku.

"Tam musicie się zameldować — wskazują biały domek, stojący w odległości 400 metrów, granica jest tuż obok. No, szczęśliwej drogi" — żegnają "Francuza", który serdecznie dziękuje im za wskazówki.

Teraz nie może już zboczyć z drogi i ominąć niebezpieczny posterunek. Przed białym domkiem stoi bowiem żandarm, który napewno spostrzegł rozmawiającego z towarzyszami Williamsa. Inspektor śmiałym krokiem dochodzi do posterunku i łamaną niemczyzną pyta żandarma, gdzie może ostemplować swoje papiery na wjazd do Francji na lo — dniowy urlop.

"Proszę". — Niemiec wskazuje mu drogę do pierwszego pokoju, poczym wchodzi za interesantem, zamyka drzwi i oficjalnie zasiada przy biurku.

"Oto moja karta pracy — wyciąga Williams dokumenty — a oto przepustka urlopowa".

Żandarm nie zdążył jednak zapoznać się z treścią dokumentów, gdyż w chwili gdy sięgał po pierwszy papier, spadła mu na głowę ręka uzbrojona w browning. Łagodnym ruchem, bez słowa usuwa się na służbowy stół. Williams szybko chwyta swoje dokumenty, wybiega przed dom i wsiada na rower stojący przed domkiem (już poprzednio zauważył ten wehikuł i na nim błyskawicznie zbudował swój plan). Ścigając się z wiatrem, dojeżdża do mostku pilnowanego przez żandarma niemieckiego i dwóch policjantów Vichy. Nie zwalniając biegu, z daleka już wymachuje dokumentami, krzycząc "dienstlich". Zaznaczyć trzeba, że t. z. granica, była tylko formalnością, tak bowiem z jednej, jak i z drugiej strony były garnizony niemieckie i niemiecka administracja, dopiero wstęp do Francji nieokupowanej był pilnie strzeżony, a na przejście wymagano specjalnego

zezwolenia Komendy Wojskowej i niemieckiej służby bezpieczeństwa.

Jeszcze pół godziny dosiada Williams swego przypadkowego rumaka, wyętzając wszystkie siły, aby znaleźć się jaknajdalej od fatalnego posterunku.

Gdy wjechał między wysokie drzewa, zsiadł z roweru, wciągnął go głęboko między krzaki i polnymi drożkami ruszył w kierunku najbliższego miasteczka S. Die. Orientował się doskonale, że lada chwila wysłany już zapewne pościg może go dosięgnąć, wszystko teraz zależało od sprawności jego nóg. I najlepszy piechur nie powstydziliby się tempa, jakie osiągnął Williams w czasie 5 godzinnego marszu. Zmrok już zapadał, gdy zdaleka ujrzał światła miasteczka. Omtnął je, ostrożnie krocząc bocznymi uliczkami i gdy znajdował się już na przeciwległym krańcu, zapukał do biednego domku robotniczego.

## VIII.

Gospodarz domku, stary, sympatycznie wyglądający robociarz francuski, wcale nie był zdziwiony widokiem obcego gościa.

Williams wytłumaczył mu, że jest robotnikiem, był w Niemczech na robotach a teraz jedzie na urlop do St. Etienne. Chciał wyciągnąć dokumenty, stary jednak ruchem ręki powstrzymał go.

"Mnie to nie jest potrzebne — powiedział — dokumenty schowaj sobie dla boszów, ja tam nie jestem żadnym szpiclem. Wystarczy, że jesteś swój. Wyglądasz mi uczciwie, a zdaje się, że jesteś głodny i zmęczony. Jeżeli chcesz, możesz zjeść i przenocować u mnie.

Inspektor był wzruszony niespodziewaną dobrocią przypadkowo spotkanego robociarza i z wilczym apetytem zasiadł do przygotowanej kolacji. Nigdy też nie



smakował mu tak bardzo ciemny razowiec i zwykłe czerwone wino, jak w tym biednym, lecz serdecznym domku na francuskiej ziemi.

Nazajutrz rano (a spał kamiennym snem lo godzin) poprosił gospodarza o wskazanie drogi do następnej stacji kolejowej.

"Wolałbym uniknąć spotkania z policją i Niemcami" — tłumaczył.

Stary spojrział na niego badawczo.

"No, jeśli wolisz ich nie spotykać, to pokażę ci pewną drogę, abyś się nie potknął" — uśmiechnął się dobroduszenie i dokładnie opisał inspektorowi wszystkie ścieżki, którymi mógł dojść do Plombières.

"Tam zapytasz o Paula Perrota, czerwony domek, tuż przy szosie i powiesz mu, że przysłała cię przyjacieli Luisa, już on pomoże ci dalej — dokończył robotnik. Williams nie dziękował nawet, obawiał się, że żadne słowa nie wypowiedzą głębokiej wdzięczności, jaką czuł dla starego, mocno tylko uściśnął spracowaną dłoń i ruszył w drogę. Nie uszedł jeszcze 300 kroków, gdy podeszło do niego dwóch policjantów Vichy. Usłużni sąsiedzi, zdążyli zawiadomić posterunek, że u starego Luisa nocował jakiś obcy.

"Nieprzyjazne oczy wszystko wyśledzą — dumiał smętnie Williams, gdy prowadzono go na posterunek — a sądziłem, że nikt nie widział jak wchodziłem do starego, no, znów niedobrze, nowe komplikacje".

Na posterunku zamknięto go w małym, zabitym deskami pokoiku. "Przewieziemy was do najbliższego posterunku policji niemieckiej, wszystkich obcych musimy tam dostarczać, taki rozkaz. Jeżeli macie papiery w porządku prędko was zwolnią" wyjaśnił mu policjant.

Tam przesiedział do południa, ale gdy nie zaszły do tego czasu żadne zmiany, zastukał do drzwi, prosząc o zaprowadzenie do ustępu. Pod eskortą policjanta zaprowadzono Williamsa do ogólnego WC. Zauważył nieopatrznie okienko, błyskawicznie podbiegł i stworzył je. Policjant przyskoczył i usiłując go odciągnąć chwycił za szyję. Precyzyjny cios w szczękę i jednym susem znajduje się za oknem. Wyskoczył na spokojną uliczkę. Przebył ją błyskawicznie, skręcił na prawo i dobiegł do szerokiej drogi. W biegu uprzytamnia sobie wszystkie wskazówki starego Luisa. Czerwony domek przy szosie, Perrot. Bijąc wszystkie rekordy światowe, jak później opowiadał przycielom w Londynie, gna Williams naprzód i po przebyciu 6 kilometrów wpada do domku Perrota. Na szczęście jest on sam w domu, gdy słyszy imię Luisa nie wypytuje już o szczegóły, tylko prowadzi ledwo dyszącego inspektora na strwszek. Tam odsuwa stertę słomy, wyciąga zamaskowaną klapę i wpycha inspektora do maleńkiej komórki. Klapę zamaskował słomą i powraca spokojnie do przerwanej roboty na podwórku. Tymczasem w S. Die zarządzono alarm i sprowadzono policję niemiecką. Przeprowadzono obławę w całej okolicy. Williams słyszał jak do zagrody wjechało kilku ludzi na rowerach i ostrym głosem spytał gospodarza, czy nie widział nieznajomego robotnika, który przed kilkoma minutami biegł drogą. Mimo zaprzeczenia zrewidowali dokładnie dom i wszystkie zabudowania, kleli przytem i obiecywali, że spalą całą wieś, jeżeli nie znajdą zbiega. Dopiero pod wieczór obława skończyła się, żandarmi i policjanci odjechali, zabrawszy ze sobą wójta i sekretarza gminnego. Teraz mógł już inspektor wyjść ze swej kryjówki. Umył się, zjadł przygotowaną kolację i z wielkiego zmęczenia usnął przy stole. Gdy obudził



się, było już po północy i zobaczył w izbie dwóch nieznanomych wieśniaków. To swoi-uspokoił go gospodarz-pomoga ci w dalszej drodze. Masz polecenie od starego Luisa, to nam wystarczy, chcesz chyba dostać się do Francji nieokupowanej? spytał inspektora. Gdy otrzymał twierdzącą odpowiedź wyciągnął ze skrzyni zniszczony surdut wieśniaka i charakterystyczny kapelusz.

"Będziesz się teraz nazywał Jean Dubonet, jesteś parobkiem u tego tutaj Paula Dechavarenoix, pokaż rece. No, dobre-rzekł gdy spojrział na podrapane ręce inspektora-jedziecie po ziarno, tu masz metrykę, to wystarczy".

Szybko przebrał się Williams w nowy strój i wyszedł w ciemną noc z nowymi przyjaciółmi.

Przed domem czekał już wóz chłopski, załadowany pasza, na który wszyscy trzej wsiedli i ruszyli w drogę.

Dwa następne dni upłynęły Williamsowi jak w bajce. Przekazywany z chaty do chaty, trzeciej nocy wraz ze szmuglowanym towarem przerzucony został do miasteczka Autun, leżącego już o 20 kilometrów od granicy Francji okupowanej.

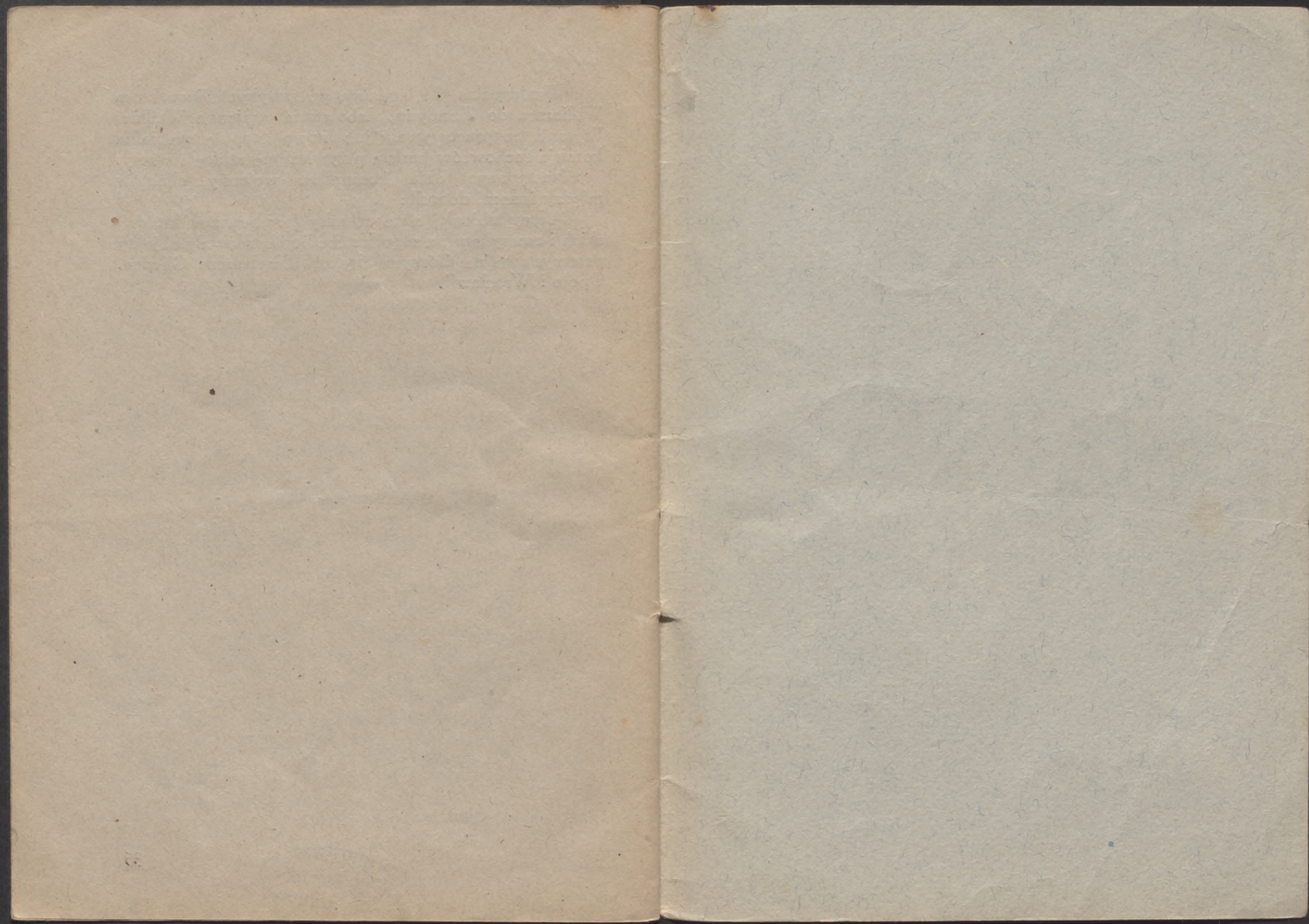
"Teraz to musi pan sam sobie radzić" powiedzieli eskortujący go wieśniacy i serdecznie pożegnali. Znów był Pierre Lamourem. I już spokojnie, na podstawie swych papierów urlopowych, które bardzo policja Vichy honorowała, dojeżdża do Bagneres. O zmroku przekracza znajomą rzekę i z rozczuleniem wita wschód słońca już w Pirenejach hiszpańskich. Jest prawie w domu. Musi, co prawda uważać na policję hiszpańską i niemieckich agentów, ale ma tutaj przyjaciół, którzy pomogą mu w dostaniu się do Madrytu. A dalej, to już pojedzie szybko, bez przeszkód.

W niespełna 24 godziny po przybyciu inspektora Williamsa do Londynu, laboratoria wojenne Wielkiej Brytanji rozpracowywały już nowy stop, a specjalna komisja fachowców badała przywiezione szkice i wzory.

Następnego dnia komunikat wojenny aliantów między innymi donosił:

"Nocy ubiegłej silne eskadry bombowców królewskich i amerykańskie superfortece bombardowały objekty przemysłowe na Górnym Śląsku, a zwłaszcza Gliwice, Opole i Wrocław".







Arch. Emigracji  
Biblioteka

Główna  
UMK Toruń

1385190

Biblioteka Główna UMK



300020981201



Arch. Emigracji  
Biblioteka

Główna  
UMK Toruń

1385190



Biblioteka Główna UMK



300020981201